

Ma dziewiętnaście lat, długie włosy, bosa stopy, ale nie ma dowodu osobistego. Zatrzymują go na Placu Zamkowym i wiozą na komisariat. Tutaj regularne bicie. Najpierw pałką, potem łokciem w brzuch i kopanie. Chłopak zwija się w kłębek, jęczy, trzyma za brzuch, więc wzywają pogotowie. Umiera dwa dni później w szpitalu na warszawskim Solcu. Wszyscy tę historię znają. Wiedzą, że Grzegorz Przemyski został śmiertelnie pobity przez milicjantów, że było to 12 maja 1983 r., tuż przed przyjazdem do Polski papieża. Że jego matką była opozycyjna poetka, i że on sam pisał wiersze, grał na gitarze. Jego pogrzeb stał się największą wówczas manifestacją przeciwko władzy. Tysiące ludzi przeszło w milczeniu z żoliborskiego kościoła świętego Stanisława Kostki aż na cmentarz na Powązkach. Płakali, domagali się uczciwego procesu i surowej kary dla milicjantów.

W tym samym czasie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych trwały już prace nad zacieraniem śladów. Minister Czesław Kiszczak zdecydował, że milicjantom nie może spaść włos z głowy. Więc trzeba tak poprowadzić śledztwo, by odsunąć od nich podejrzenia. Winni mają być sanitariusze i to oni powinni zasiąść na ławie oskarżonych. I wkraczają do akcji zawodowcy – od kłamstwa, zastraszania, zaciemniania, manipulacji.

W MSW powstaje specjalna grupa, której celem jest fałszowanie śledztwa. Plan operacyjny przewiduje wyeliminowanie pełnomocników procesowych matki zabitego – adwokatów Macieja Bednarkiewicza i Władysława Siłę-Nowickiego, skłonienie głównego świadka Cezarego Filozofa do wycofania zeznań obciążających milicjantów oraz zebranie dowodów przeciwko dwóm sanitariuszom.

Pracują nad tym codziennie setki ludzi. Każdego dnia do sztabu akcji spływają dziesiątki raportów, które są szczegółowo analizowane przez ekspertów. Na tej podstawie opracowują oni sposoby nękania świadków i odwracania uwagi od winny. Poprzez zaprzyjaźnioną z MSW sieć dziennikarzy zespół dostarcza też argumentów prasie, zarządza przeciekami ze śledztwa i publikacjami. Pierwsze efekty ich pracy widać już po kilku miesiącach, gdy do aresztu trafiają dwaj sanitariusze. A dzięki umiejętnie prowadzonemu przesłuchaniu dość szybko miękną i zaczynają się nawzajem obwiniać. To ogromny sukces resortu, bo oprócz samoobciążających zeznań nie ma przeciwko nim żadnego innego dowodu.

Na oczach Polski w ciągu kilkunastu tygodni prosta sprawa śmiertelnego pobicia chłopaka na komisariacie milicji, w której są oczywiste dowody winy, zaczyna się gmatwać, mętnieć i zaciemniać. Nic już nie jest pewne. Z głównego świadka zrobiono kryminalistę, z ofiary – narkomana, z jego matki – alkoholiczkę, z ich wspólnego mieszkania – melinę. Nawet głośne skowyty bólu bitego na komisariacie chłopca zamieniły się w śledztwie na okrzyki karateki. Wyrok zapada w lipcu 1984 r. po procesie, który nic nie wyjaśnia. Dwóch milicjantów zostaje uniewinnionych. Skazani zostają natomiast sanitariusze. Ale za brak należytej opieki nad pacjentem, a nie za śmiertelne pobicie. Bo sąd nie znalazł odpowiedzi na to najważniejsze pytanie – kto bił? Nie wysunął w tej sprawie nawet żadnej hipotezy.

Jak to możliwe, że jej ukochane dziecko nie żyje, winnych nie ma, a sprawę władza zamiata pod dywan? Tego Barbara Sadowska, matka Grzegorza, zrozumieć nie mogła. W sprawiedliwość przestała wierzyć jeszcze przed rozpoczęciem procesu. Napisała wtedy list do sądu, wyjaśniając dlaczego rezygnuje z roli oskarżyciela posiłkowego. „Spaczenie materiału dowodowego, sprowadzenie go na boczne tory, zła wola – zakazują mi z moralnych pobudek partycypowania w procesie, który dąży nie do wyjaśnienia, ale zatarcia okoliczności zabójstwa mojego świętej pamięci syna Grzegorza” – pisała.

I do końca życia nosiła w sobie poczucie krzywdy. Umarła w 1986 r.. Dziś zupełnie jest zapomniana, tak jak jej wiersze.

Nadzieja na sprawiedliwy proces powróciła po upadku komunizmu. W 1993 r. sprawa Przemyska ponownie trafiła do sądu. Ciągnęła się przez cztery lata. Zeznawało dziesiątki świadków, ekspertów, biegłych. Najważniejsi przesłuchiwanie byli bardzo długo i bardzo dokładnie, by żaden istotny szczegół nie umknął. Już wtedy wiadomo było, że to milicjanci bili, a nie sanitariusze, że śledztwo tuszowano, a decyzje zapadały na najważniejszym szczeblu państwowym. Że wiedzieli o tym ministrowie i premier. I że w PRL nie było szans na uczciwy proces. Tylko, że wyrok z roku 1997 też był wielkim rozczarowaniem.

Milicjant Ireneusz Kościuk przez cały proces milczał, a sąd nie potrafi dowieść, że to on pobił Grzegorza Przemyska. Potem było trzynaście lat przepychanek sądowych, odwołań i rewizji, aż Sąd Najwyższy ostatecznie umorzył sprawę śmiertelnego pobicia – bo się przedawniła.

Choć od dwudziestu ośmiu lat znamy nazwiska osób, którzy nakłaniali świadków do składania fałszywych zeznań, preparowali dowody i zacierali ślady, to nikt nie poniósł za to kary. Generała Czesława Kiszczaka i kilkunastu jego podwładnych prokuratura oskarżyła o przekroczenie uprawnień, utrudnianie śledztwa, prześladowanie głównego świadka, znęcanie się nad sanitariuszami, i inne działania na szkodę wymiaru sprawiedliwości, ale nie zostali skazani, bo zabrakło czasu i sprawa się przedawniła.

Jedyną nadzieją płynącą ze sprawy Grzegorza Przemyska jest to, że prawdy zakłamać się nie da. Można mieć podporządkowany i zdyscyplinowany aparat represji, sądy, prokuraturę, telewizję, radio, gazety, usłużnych dziennikarzy i propagandzistów, a prawda i tak zwycięży. Kłamstwa władzy żaden lud nie kupi. Nawet najciemniejszy. Nadzieja w tym, że ci, co kłamią, manipulują, zastraszają, zostaną kiedyś napiętnowani tak, jak ludzie służący generałowi Kiszczakowi.

Cezary Łazarewicz